

Mój śląski patriotyzm

Mój ojciec, jako zawodowy wojskowy, oddelegowany został w 1923 r. do służby na granicy rumuńskiej we Wschodnich Karpatach. Tam pracując, ożenił się w miasteczku Monasterzyska w województwie tarnopolskim. Zamieszkali w granicznej wiosce Jabłonica, w leśniczówce przebudowanej na Strażnicę. Córka urodziła się im w 1925 r., ja rok później.

Lecz już w 1927 r., w związku z utworzeniem formacji Straży Granicznej, ojciec skierowany został na nową placówkę Straży Granicznej w Łagiewnikach na Górnym Śląsku. To też nic a nic nie pamiętam z rocznego pobytu w małej, ponoć uroczej wiosce, zagubionej w huculskich lasach, gdzie się urodziłem. Nie mam też żadnego sentymentu do mej huculskiej "małej ojczyzny", pozostało mi po niej tylko wpis miejsca urodzenia w dowodzie osobistym i kilka poszarzałych fotografii w rodzinnym albumie. Mimo to niekiedy przekornie określałem się jako Hucuł.

Łagiewniki Śląskie była to osada górnicza, usytuowana bezpośrednio przy granicy państwowej z Niemcami, pomiędzy niemieckim Bytomiem, a Świętochłowicami i Chorzowem. Liczyła ok. 20 tysięcy mieszkańców, ale nie miała statusu miasta. W miejscowości tej przebywałem do 13. roku życia, przeżyłem tam więc najbardziej beztrudne lata dzieciństwa i nauki w 6-klasowej szkole podstawowej. Ten okres pamiętam, w wielu szczegółach do dziś i Górny Śląsk uznaję właśnie za swą "małą ojczyznę" oraz uważam się za Ślązaka. Zresztą również za Wrocławia, gdyż we Wrocławiu mieszkałem przez 6 lat powojennych i uzyskałem średnie i wyższe wykształcenie.

W czasie zamieszkiwania w Łagiewnikach byłem, przy różnych okazjach, bodaj we wszystkich sąsiednich miastach: Lipinach, Chropaczowie, Zgorzelcu, Świętochłowicach i Chorzowie, stanowiących jakby jedną wielką aglomerację miejską, połączoną siecią tramwajową. Najczęściej w Chorzowie z mamą na zakupach w tamtejszych domach towarowych. Dwa razy cała moja klasa przebywała na wielogodzinnej wycieczce szkolnej w lasach mikołowskich na biwaku harcerskim, gdzie bawiliśmy się w Indian i ćwiczyliśmy różne gry sprawnościowe. W 1936 r. ojciec wystarał się dla mnie o trzymiesięczny pobyt leczniczy w świeżo oddanym do użytku Dziecięcym Sanatorium Przeciwgruźliczym w Istebnej, obok Ustronia i Wisły. Mianowicie prześwietlenie płuc wykazało, że mam początki gruźlicy, którą skutecznie w sanatorium wyleczyłem. Byłem też w Piekarach Śląskich, dokąd dojechaliśmy tranzytem w zaplombowanym tramwaju przez nieniecki Bytom.

W Łagiewnikach Śląskich mieszkaliśmy do września 1939 r. W czerwcu uzyskałem świadectwo ukończenia 6-tej klasy szkoły powszechnej, następnie zdałem egzaminy wstępne do liceum w Chorzowie, po czym, wraz z siostrą, wyjechaliśmy na zasłużone wakacje do krewnych ojca w Poznańskim. Lato na wsi było piękne, do Łagiewnik wróciliśmy dopiero w połowie sierpnia. Wszędzie na murach domów wisiły plakaty, przedstawiające żołnierzy, eskadry samolotów, czy marszałka Rydza Śmigłego, z hasłami „Do broni!”, „Silni, zwarci, gotowi!” itp. Ojciec, pracujący w Straży Granicznej zorientowany był dobrze w przygotowaniach wojennych na niemieckim Śląsku. To też 30 sierpnia mama, siostra i ja, ze sporymi bagażami, wyjechaliśmy pociągiem z Katowic do Stanisławowa, stamtąd, po przesiadce, do Monasterzysk, gdzie zamieszkiwała rodzina mamy. Ojciec dołączył do nas dopiero 16 września, po rozwiązaniu oddziału wojskowego, w którym walczył z Niemcami.

4,5 lat wojny przeżyliśmy w Monasterzyskach na Kresach, niespełna rok w Jordanowie na Podhalu, zaś po wojnie w Kępnie, Wrocławiu, ja całe swe życie zawodowe przepracowałem w Nowej Hucie-Krakowie. Przez cały ten okres zawsze interesowałem się losami, rozwojem i zdarzeniami dziejącymi się na Górnym Śląsku. W skrócie opiszę te moje późniejsze spotkania ze Śląskiem.

W kwietniu 1944 r. rodzice zdecydowali się na wyjazd z kresowych Monasterzysk, w pobliżu których uformował się wówczas front wojenny. Była to równocześnie ucieczka przed zagrożeniem ze strony ukraińskich banderowców i Z terytoriów, o których było powszechnie wiadomo, że nie wrócą do Polski. Było to możliwe, gdyż Niemcy za odpowiednią opłatę przydzielali, bez większych problemów ewakuującym się Polakom kryte wagony kolejowe. Dotarliśmy do Jordanowa na Podhalu na południe od Krakowa i tam zamieszkaliśmy w prowizorycznych warunkach do czasu wyzwolenia Jordanowa przez Rosjan, co nastąpiło na początku lutego 1945 r. Już w marcu rodzice postanowili



Na terenie Huty Zygmunt

przedostać się do Kępna w Poznańskim, gdzie zakupili tuż przed wojną dom jednorodzinny,

Z Krakowa jechaliśmy pociągiem towarowym, rozlokowani na stercie stalowych rur na otwartym wagonie. W Katowicach musieliśmy przejść z dworca towarowego na dworzec osobowy, taszcząc swoje znaczne bagaże. Dzień był słoneczny i ciepły, ale ulice puste, żadnych gapiów w oknach, najwidoczniej wszyscy mieszkańcy byli w miejscach pracy. Faktycznie wszystkie kominy kopalń i hut dymiły. W ogóle w całym okręgu katowickim (z wyjątkiem Gliwic) nie było żadnych zniszczeń wojennych, a to dzięki oskrzydłającemu manewrowi gen. Koniewa, który zmusił Niemców do ucieczki przez pozostawione im drogi ewakuacyjne. Przy tym miasta śląskie nie były bombardowane przez lotnictwo alianckie, gdyż znajdowały się poza jego zasięgiem.

Tak więc kopalnie węgla kamiennego, huty i wszelkie inne zakłady przemysłowe Górnego Śląska dosłownie od pierwszego dnia po przepędzeniu okupanta niemieckiego pracowały pełną parą na rzecz odbudowy i rozwoju Polski Ludowej. W kolejnych kilku miesiącach uruchomiona została we Wrocławiu produkcja wagonów (węglarek) do przewożenia węgla i odbudowane zostały tory kolejowe do Szczecina i Gdyni oraz stacje przeładunkowe węgla w tych portach. To też węgiel polski popłynął szerokim strumieniem do wielu krajów europejskich, a było na niego wielkie zapotrzebowanie przez wiele lat, zaś płacono zań gotówką w dewizach.

Również miasto Kępno i inne południowe powiaty województwa poznańskiego uniknęły jakichkolwiek zniszczeń wojennych/ Bodaj wszystkie zakłady pracy, polska administracja, służba zdrowia i szkolnictwo w tym czasie funkcjonowały już normalnie. Podjąłem niezwłocznie naukę w czwartej klasie tamtejszego Państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego i w czerwcu miałem już małą maturę w kieszeni. Zaś w sierpniu, wraz z wieloma kolegami, absolwentami kępińskiego gimnazjum przenieśliśmy się do Wrocławia, gdzie istniała możliwość nauki na jednorocznym kursie licealnym.

Wrocław był wielkim, prawie milionowym miastem, potwornie zniszczonym w trakcie 3-miesięcznego oblężenia, garnizon niemiecki skapitulował właściwie dopiero w dniach zdobycia Berlina przez Armię Czerwoną i oficjalnego zakończenia II wojny światowej w Europie. Przez wiele tygodni i miesięcy w mieszkaniu autochtonki, w którym zamieszkiwałem z dwoma kolegami, nie było energii elektrycznej, wody, ani gazu, nie było też jeszcze komunikacji publicznej w mieście. Zaś w I. Państwowym Liceum, do którego uczęszczaliśmy, nie było szyb w oknach i uczyliśmy się w płaszczach i kurtkach.

Lecz życie w mieście szybko się normalizowało, żywność otrzymywaliśmy na kartki, poza tym na niedziele po prowiant jeździłem pociągiem do rodziców w Kępnie. Nie było jeszcze normalnych rozkładów jazdy pociągów osobowych, jeździłem więc, według okazji i możliwości, trzema trasami: przez Oleśnicę, Namysłów lub dalej przez Kluczbork, czyli przez najbliższe miasta Górnego Śląska. Naukę w liceum ukończyłem już w kwietniu 1946 r. i w przeddzień Świąt Wielkanocnych zdałem maturalne egzaminy eksternistyczne we Wałbrzychu. Była to w ogóle pierwsza powojenna matura na Ziemiach Odzyskanych.

Od 2 maja 1946 r. zatrudniłem się w Regionalnej Dyrekcji Planowania Przestrzennego we Wrocławiu na stanowisku kreślarza. Wykonywałem różne prace kreślarskie, związane z Ogólnym Planem Odbudowy Wrocławia. Jego autorem był dyrektor biura inż. Tadeusz Ptaszycki. Miałem okazje przysłuchiwać się dyskusjom i konsultacjom, prowadzonym nad tym planem przez licznych architektów i urbanistów krajowych. Wielkim wydarzeniem, jakie szczególnie utkwiło w mej pamięci, był zwłaszcza Zjazd Architektów RP, który trwał przez cały tydzień, w tym 4 dni we Wrocławiu, a po jednym dniu w Wałbrzychu, Cieplicach i Karpaczu. Wziąłem w nim udział jako stenograf, zapisując wszystkie wypowiedzi w dyskusjach. Poszczególne dni poświęcone były na wykłady i referaty dotyczące odbudowy, głównie Warszawy i Wrocławia, a połączone z koreferatami i szerokimi dyskusjami nad przedstawianymi planszami.

Również, zapewne po raz pierwszy, przedstawione zostały, przedyskutowane i ocenione w gronie fachowców dwa unikalne projekty: Szybkiej Śródmiejskiej Kolei, łączącej Gdańsk, Sopot i Gdynię oraz Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie na Górnym Śląsku. Oba przedsięwzięcia inwestycyjne uzyskały w dyskusji wysokie oceny i faktycznie w niedługim czasie rozpoczęła się ich realizacja. .

Mnie, jako Ślązaka, szczególnie zainteresował fakt przedstawienia projektu budowy PKiW w Chorzowie. W kraju rozpoczynała się dopiero wielka powojenna odbudowa. Szereg miast, w tym stolica Warszawa, Gdańsk, Wrocław, Szczecin leżało w gruzach. Trzeba było odbudowywać mosty, linie kolejowe, porty morskie, zakłady produkcyjne i w ogóle całą infrastrukturę gospodarczą państwa. W tym kontekście angażowanie dużych środków na urządzenie Parku Wypoczynkowego w Chorzowie można było interpretować tylko jako specjalne traktowanie i uznanie dla górniczej i hutniczej społeczności Górnego Śląska.

W październiku 1946 r. rozpocząłem studia na Wydziale Architektury Politechniki Wrocław-

skiej. Mieszkałem w podnajmowanym pokoiku w prywatnych mieszkaniach i dorywczo pracowałem na swe utrzymanie w Spółdzielni Pracy „Arkady” Związku Słuchaczy Architektury, jaką sami na Politechnice zorganizowaliśmy. Pracowało się głównie w okresach wakacji, a jej przedmiotem było opracowywanie różnej dokumentacji budowlanej, co stanowiło jakby praktykę w naszej nauce.

Studia ukończyłem po pięciu latach i w październiku 1951 r. uzyskałem dyplom magistra inżyniera architekta. Jeszcze przez cztery miesiące przebywałem we Wrocławiu, wykonując jakieś większe prace rysunkowe i dekoracyjne w naszej studenckiej spółdzielni. W międzyczasie kilka dni poświęciłem na zwiedzenie miast Górnego Śląska, w poszukiwaniu znajomej rodziny z Monasterzysk. We większych miastach istniały wtedy biura Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR), które pośredniczyły w powojennych przemieszczeniach i poszukiwaniu się Polaków. Byłem w Katowicach, Chorzowie Bytomiu, Zabrze i na końcu w Gliwicach, gdzie poszukiwaną rodzinę odnalazłem. Te śląskie miasta były szare, zadymione, ale wszystkie zakłady przemysłowe pracowały na pełnych obrotach, z najwyższą wydajnością, kopalnie węgla nawet non stop, na trzy szychty. Bez najmniejszej przesady Górny Śląsk w tamtych latach był kuźnią, w której wykuwał się przemysłowy kształt nowej Rzeczypospolitej. Dziś cała Polska powinna w jakiś sposób pomóc Śląskowi w obecnej reformowanej rzeczywistości, by spłacić choć część „długu pracy”, zaciągniętego wówczas w tym regionie.

W dniu 15 marca 1952 r. rozpocząłem pełnoetatową pracę w Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta, na stanowisku inspektora nadzoru budowlanego. Przewiozłem swe osobiste rzeczy z Wrocławia, zostałem zakwaterowany w hotelu inżynierskim. Sądziłem, że w ramach praktyki budowlanej będę pracować przez dwa lata na budowach Nowej Huty, po czym wrócę do Wrocławia, by pracować jako projektant w jakimś biurze architektonicznym. Stało się inaczej, w Nowej Hucie-Krakowie „ugrzeźłem” już na stałe.

W DBMNH pracowałem 8 lat, awansując na kierownicze stanowiska, a następnie przez 31 lat jako starszy projektant architektury w biurze projektowym w Krakowie. Przez wszystkie te lata tylko kilkanaście razy przebywałem na Górnym Śląsku przejazdem, jako turysta, a najczęściej na wczasach wypoczynkowych w uzdrowiskach Beskidu Śląskiego. Pierwsze swe urlopy spędzałem w ośrodkach FWP w miejscowościach Pogórza Sudeckiego na Dolnym Śląsku. Lecz w ostatnich latach pięćdziesiątych jeździłem raczej na wczasy orbisowskie do Zakopanego, Krynicy lub Szczyrku i Wisły na Śląsku. Były znacznie droższe, lecz można je było otrzymać w ostatniej chwili i na różne okresy czasowe, także na tydzień, lub na kilka tylko dni.

Oba ośrodki w Beskidzie Śląskim prezentowały się podówczas jeszcze bardzo skromnie. Miały wszakże wspaniałe zaplecze turystyczno-krajoobrazowe, w postaci trzech wysokich szczytów Beskidu Śląskiego oraz pobliskiego dużego, atrakcyjnego miasta Bielska-Białej. Dopiero w dwóch następnych dekadach lat 60-tych i 70-tych zarówno Szczyrk jak i Wisła zostały bardzo rozbudowane. Szczyrk głównie jako ośrodek wczasowo-wypoczynkowy, zaś Wisła jako ośrodek sportów zimowych, z licznymi wyciągami linowymi, skoczniami itp. Właśnie w czasie mego pobytu odbywały się tam krajowe mistrzostwa w skokach narciarskich na nowo zbudowanej skoczni.

Z początkiem lipca 1964 r. zabrałem starszego syna i pojechaliśmy do dziadków w Kępnie. Nasz pociąg krakowski był nieco opóźniony i w konsekwencji uciekł nam pociąg jadący z Katowic w kierunku Poznania. Nowe połączenie mieliśmy dopiero za kilka godzin, więc poszliśmy "w miasto". Śródmieście Katowic bardzo się zmieniło od mego poprzedniego w nim pobytu przed kilku laty. Przybyło sporo wysokich domów mieszkalnych, nowoczesny dom towarowy, kilka okazałych biurów ze szkła i aluminium. Zjedliśmy obiad w eleganckiej restauracji "Monopol", przed rozbudowującym się dworcem osobowym, a do Kępna dojechaliśmy dopiero wieczorem.



W Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie

W jedną z niedziel czerwca 1966 r. zaimprovizowaliśmy rodzinny wyjazd do Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Była słoneczna pogoda, ciepło, więc bez zbytnich bagaży, pojechaliśmy wczesnym pociągiem do Katowic, a stamtąd tramwajem do Parku. Czekaliśmy tam na nas, zwłaszcza na synów, rozliczne atrakcje, z których, z uwagi na ograniczony czas, mogliśmy skorzystać tylko w małej części. Zwiedziliśmy fragment Ogrodu Zoologicznego, a na dłużej zabawiliśmy w Wesołym Miasteczku. Tam chłopcy wdrapywali się do prawdziwych samolotów wojskowych oraz jeździli autkami i samolocikami na wielkiej karuzeli, a także łódkami w dużych sztucznych stawie. Był to bardzo udany dzień, pełen nie-

zapomnianych atrakcji, to też do Krakowa wróciliśmy dopiero o zmierzchu.

W 1968 r. Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej (SARP) w Krakowie zorganizowało wycieczkę szkoleniową architektów do Nowych Tychów, celem zapoznania się z planami i budową tego nowego 100-tysięcznego miasta na Górnym Śląsku. Zlokalizowane 20 km na południe od Katowic, na skraju lasów mikołowskich, było ono jednym z elementów wielkiego planu deglomracji GOP, gdzie zabudowa mieszkaniowa przemieszana była z uciążliwymi dla mieszkańców zakładami przemysłowymi. Szybki dojazd ludzi do pracy w tych zakładach zapewnić miała specjalna linia kolei osobowej. Decyzją Prezydium Rządu budowa pierwszego osiedla Nowych Tychów rozpoczęła się w 1953 roku. Realizacja całego 100-tys. miara ukończona została w 1982 r.

Uczestnicy wycieczki przede wszystkim zapoznani zostali z projektami urbanistycznymi miasta w pracowni projektowej Kazimierza Wejcherta, który był ich głównym autorem. Następnie zaprezentował nam on szereg osiedli, będących w budowie. Wprowadzano na nich już wtedy w szerokim zakresie przemysłowe metody budownictwa wielkoblokowego i wielkopłytkowego, w oparciu o zrealizowaną w mieście dużą Fabrykę Domów.

W pewną wrześniową słoneczną niedzielę 1969 r., po raz drugi po kilku latach, udaliśmy się na całodniową rodzinną wycieczkę do Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Nie zawiedliśmy się, znów przeżyliśmy dzień pełen wrażeń i przeróżnych niespodzianek. Przede wszystkim na terenach Parku odbywały się wielkie targi i wystawa kwiatów. Szczególnie pięknie prezentowała się ona z góry, z krzesełek kolejki linowej. Zwiedziliśmy tereny sportów wodnych, byliśmy w obrotowej kawiarence, pływającej po jeziorze. Chłopcy jeździli na licznych karuzelach w miasteczku rozrywki. Nie udało się nam jedynie skorzystać z wielkiego Planetarium, jakie było wówczas w remoncie. Za to zwiedziliśmy, przy okazji, centrum Katowic, gdzie kończyła się już budowa gigantycznej hali sportowo-widowiskowej, tak zwanego "Spodka Katowickiego".

W Katowicach byliśmy znów rodzinnie w 1973 r. Umówiliśmy się tam we wrześniu na jednodniową niedzielną wycieczkę z moją siostrą i jej mężem, zamieszkałymi we Wrocławiu.



Katowice zwiedzaliśmy z zainteresowaniem, gdyż to duże miasto w tamtych latach intensywnie się rozbudowywało. Śródmieście wypełniło się szeregiem nowych wieżowców, wybudowany został kolejny duży dom towarowy i kończono też gruntowną przebudowę centralnego dworca kolejowego. Spodek Katowicki, czyli wielka hala widowiskowo-sportowa na około 10 tys. widzów, usytuowany w centrum miasta naprzeciwko Pomnika Powstańców Śląskich, został już oddany do użytku i aktualnie odbywały się tam występy rosyjskiego Zespołu Pieśni i Tańca im. Aleksandrowa.

Spodek Katowicki

W dniu 1 lipca 1974 r. udałem się samolotem z Warszawy do Kopenhagi w ramach delegacji służbowej, związanej z rozpoczęciem przeze mnie projektowania Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie. Było nas czterech projektantów, w tym dwóch technologów z warszawskiego Ośrodka TVP. Naszym celem było zapoznanie się z dokumentacją projektową i organizacją pracy 10-studijnego Ośrodka TV w Kopenhadze, świeżo oddanego do użytku. Oczywiście w czasie tygodniowego pobytu w stolicy Danii zwiedziliśmy również to miasto. Między innymi pasażerski port morski. Przed nim znajdowała się nie wielka wyspa z widocznym nabrzeżem portu węglowego, a przy nim dwa polskie statki. Polska była przez całe 45 lat po II wojnie światowej stałym dostawcą śląskiego węgla kamiennego dla gospodarki duńskiej i polskie rudowęglowce woziły go w wahadłowych rejsach ze Szczecina do Kopenhagi. Między innymi zaopatrując wielką elektrociepłownię, zasilającą w ciepło całą Kopenhagę.

W marcu 1977 r. pojechaliśmy na dwutygodniowe, rodzinne wczasy, tym razem do Ustronia Śląskiego. Jest to kilkunastotysięczne miasteczko w Beskidzie Śląskim na trasie pomiędzy Skoczowem i Wisłą. Doskonały punkt wypadowy do zwiedzania całego regionu Beskidu Śląskiego od Cieszyna po Szczyrk. W pierwszym rzędzie zaczęliśmy od spacerów po samym Ustroniu, który w latach siedemdziesiątych bardzo się rozbudował. W ogóle do Ustronia jechaliśmy z Katowic autobusem nową, wielopasmową szosą typu autostrady, której budowę doprowadzono ówczesnie do rejo-

na Skoczowa, a która pomyślana była jako szybkie, wygodne połączenie całej aglomeracji górnośląskiej z Ustroniem, Wisłą i Szczyrkiem. Te trzy miejscowości stały się bowiem w dekadzie lat siedemdziesiątych zagłębem wypoczynkowo-sanatoryjnym dla całego regionu Śląskiego Okręgu Przemysłowego.

W Ustroniu przybyły dwie nowe dzielnice Jaszowiec i Zawodzie, obie zabudowane dziesiątkami domów wczasowych i obiektów sanatoryjnych. W Jaszowcu, położonym w malowniczej dolince rzeczki Jaszowiec, dopływu Wisły, chyba wszystkie ośrodki wczasowe, na ogół nieduże i średniej wielkości, już chyba wszystkie funkcjonowały. Natomiast na nowszym Zawodziu czynnych uzdrowisk i sanatoriów było jeszcze niewiele, kilka znajdowało się aktualnie w budowie, a na kilku roboty budowlane najwyraźniej zostały wstrzymane. Kilkanaście tych obiektów miało charakterystyczne kształty wielkich 10-piętrowych piramid-stożków. Zapewne realizowane były według częściowo powtarzalnej dokumentacji, ale różniły się balkonami, ślusarką, kolorystyką elewacji, parterami i standardem wykończenia.



Wczasowo-wypoczynkowy Jaszowiec

Piramidy sanatoryjne w Zawodziu

W sumie poszczególne budynki na Zawodziu prezentowały się bardzo okazale, podobnie dobre wrażenie sprawiało w ogóle całe osiedle tych oryginalnych sanatoryjnych piramid. Nastrój jego zwiedzania mąciła jednakże świadomość wstrzymania części budów. Było to wyraźnym rezultatem "przegrzania" inwestycyjnego, jakie w 1975-1976 latach zaistniało właściwie w całej Polsce. Gospodarka kraju, a ściślej finanse państwa, nie były w stanie udźwignąć i kontynuować tej lawiny inwestycji, jaką zbyt lekkomyślnie, bez dostatecznej kontroli, uruchomiono w poprzednich latach. Nie starczało środków budżetowych, ani pożyczek zagranicznych, zwłaszcza, że nadszedł już czas spłaty kilkumiliardowych pożyczek dolarowych, zaciągniętych w pierwszych latach siedemdziesiątych, głównie na modernizację przemysłu w Polsce.

W ciągu pierwszego tygodnia naszego turnusu wczasowego w Beskidzie Śląskim była piękna, słoneczna pogoda, śnieg zalegał tylko na górskich szczytach. Wykorzystując tę pogodę, już w pierwszych dniach "zdobyliśmy" obie, zdołające Ustroń, ponad 900 metrowe góry: Równicę i Czantorię. Zwiedziliśmy także Cieszyn, Skoczów i Wisłę. W Cieszynie byłem już wcześniej, lecz moja rodzina po raz pierwszy mogła podziwiać to piękne, gospodarne miasto. Również Wisłę zwiedziłem kilkanaście lat wcześniej, ale od tego czasu miasto bardzo się rozrosło. Przybyło wiele nowoczesnych domów wypoczynkowych i sanatoryjnych, które wypełniły całe miasto i stoki otaczających je wzgórz.

W przedostatnim dniu turnusu wczasowego chcieliśmy zwiedzić Szczyrk. Dojechaliśmy autokarem aż do zapory energetycznej na jeziorze Czarniańskim, do którego wpływają Czarna i Biała Wisetka i z którego wypływa już jedna rzeka Wisła. Niestety poprzedniego dnia niespodziewanie wróciła zima w Beskid Śląski. W ciągu jednej nocy wszystko dokoła pokryła gruba śnieżna kołdra. Z tego też powodu wycieczka do Szczyrku się nie udała. Autokar dojechał jedynie do przełęczy przy Białym Krzyżu. Dalej z powodu zasp śnieżnych nie można było jechać i zawróciliśmy do Ustronia.

Realizowane w PRL plany intensywnej industrializacji wymagały znacznego zwiększenia wydobycia węgla kamiennego, jako głównego źródła energii. To też wzrosło ono z 40 mln t węgla w 1946 r. do 201 mln t w 1979 r. Możliwe to było dzięki całkowitemu zmechanizowaniu wydobycia i transportu węgla, zastosowaniu zasypywania wyeksploatowanych korytarzy przez piasek (magistrala piaszkowa) i budowie wielu nowych kopalń, m.in. w tzw. „Zielonym Zagłębiu Węglowym”, jakie powstało w rejonie Rybnika i Jastrzębia Zdroju. Te nowe kopalnie wymagały również budowy nowych osiedli mieszkaniowych. Dokumentacja projektowa na dwa osiedla Borynia i Pniówek (obok Jastrzębia Zdroju) zrealizowana została w naszym biurze, wobec przeciążenia Miastoprojektu Katowice.

W 1978 r trafiło do mnie zlecenie na opracowanie koncepcji projektowej budowy Szkoły Chorażych Pożarnictwa na południe od Krakowa. Miała ona spełnić dwa podstawowe cele: kształcić kadry dla straży pożarnych oraz stanowić rezerwę operacyjną w zakresie ochrony p.poż. terenów Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego i Województwa Krakowskiego. Program inwestycji Szkoły pomyślany został z wielkim rozmachem. Na działce o powierzchni 11 ha miały powstać obiekty dydaktyczne oraz internaty z zapleczem żywieniowym dla 700 kadetów, a ponadto budynki: operacyjny na 14 wozów bojowych i administracyjny z ambulatorium, warsztaty, dwie sale gimnastyczne, kryta pływalnia, kotłownia i in. A także stadion sportowy z boiskiem 55*100 m i zespół boisk gier małych.

Mimo pewnych uproszczeń, jakie wprowadziłem do programu, postulowanego przez Komendę Główną Straży Pożarnych, obiekty szkoły miały łącznie aż 150 tys. m³ kubatury i 33.500 m² powierzchni użytkowej. Bardzo pasjonował mnie ten temat pod względem projektowym, ponadto byłby to także dobry "kawałek chleba" dla mego zespołu projektowego i pracowni. Ale od początku zlecenie pachniało mi gigantomanią i nie wierzyłem w jego realizację, gdyż wówczas w kraku przerywano wiele rozpoczętych inwestycji z bobs deficytu środków finansowych. Dlatego koncepcję opracowałem w ograniczonym zakresie, w małej skali i bez angażowania projektantów branż instalacyjnych. A podczas jej prezentacji dostojnym generałom i pułkownikom w Komendzie Głównej Pożarnictwa w Warszawie akcentowałem raczej trudności i koszty inwestycji. Faktycznie ostatecznie na koncepcji się skończyło, a szkoła chorażych pozostała na swym dotychczasowym, acz małym i ciasnym, miejscu, to jest w budynku strażnicy pożarniczej na os. C-1 w Nowej Hucie.

W październiku 1988 r. znalazłem się w szpitalu z powodu silnego bólu w okolicach brzucha. Zdjęcie rentgenowskie wykazało, że jego powodem jest utworzenie się kamieni w lewej nerce. Lekarze zdecydowali o konieczności operacyjnego usunięcia tych kamieni. Lecz w przeddzień zabiegu odwiedził mnie kolega i poinformował, że jego szwagier właśnie przeszedł podobną operację usunięcia kamieni metodą bezbolesną i bezkrwawą, przy użyciu ultradźwięków, w górniczym szpitalu w Jastrzębiu Zdroju. Szpital ten wtedy, jako drugi w kraju, po szpitalu w Zabrze, otrzymał bowiem odpowiednią super nowoczesną aparaturę, produkcji firmy Siemens.

Syn zadzwonił do Jastrzębia, uzyskał zgodę oraz termni operacji i po kilku dniach rano o 6-tej pojechaliśmy samochodem do tamtejszego górniczego szpitala. Po kontrolnym zdjęciu RTG od razu wykonano zabieg, jaki trwał ponad pół godziny, a polegał na bombardowaniu ultradźwiękami ściśle określonego miejsca ciała. Był całkowicie bezbolesny, przy czym tych odczuwalnych „strzałów” było około pięćset. Zaraz potem operator-chirurg pokazał mi na zdjęciu komputerowym, że wraz z kamieniem „zostały rozbite na proch i pył”.

Czułem się bardzo dobrze i zaproponowałem mu wpłatę jakiejś kwoty na potrzeby szpitala. Lecz odpowiedział, że szpital jest dobrze finansowany, a leczenie w Polsce jest bezpłatne. Jeszcze tylko zatrzymano mnie na kilka godzin w sali chorych na kontrolne badanie, po czym po obiedzie wypisany zostałem ze szpitala i popołudniu byliśmy już w Krakowie. Nazajutrz udałem się do swego biura zdrów i pełen energii do pracy.

W latach powojennych wiele razy byłem w Katowicach, także w Chorzowie i w innych miastach Górnego Śląska, ale ani razu w Łagiewnikach Śląskich, gdzie zamieszkiwałem do września 1939 r. A o takich odwiedzinach myślałem wielokrotnie, gdyż ta prawie dwudziestotysięczna przed wojną miejscowość górnicza (dziś niespełna 8-tysięczna) stanowiła dla mnie uczuciowo małą „małą ojczyznę”. Ciekaw byłem zmian, jakie w niej nastąpiły, chciałem odwiedzić szkołę, w której 6 lat się uczyłem i miejsca, gdzie zamieszkiwaliśmy. Taką wycieczkę w odległą przeszłość dziecięcą odbyłem dopiero 11 lipca 2007 r. Pojechałem, wraz z żoną, pociągiem z Krakowa do Chorzowa, a tam na Dworcu Chorzów-Miasto czekał na nas nasz przyjaciel, mieszkający w Chorzowie. Towarzyszył nam wtedy i woził swym samochodem do końca dnia.

Od razu udaliśmy się do Łagiewnik, przejeżdżając obok terenów po byłej Kopalni Węgla Kamiennego „Łagiewniki”. W okresie międzywojnia był to największy zakład pracy w Łagiewnikach Śląskich, stanowiący wraz z „Hutą Zygmunta”, główne miejsca pracy dla mieszkańców. W 1945 r. Kopalnia „Łagiewniki” połączona została z pobliską KWK „Rozbark” w Bytomiu, dobrze im się razem wiodło i fedrowały znacznie ponad milion ton węgla rocznie. Ale po reformach Balcerowicza w 1990 r. kopalnia stała się nierentowna i mimo pozbycia się ośrodka wypoczynkowego w Zakopanem, lokalnego domu kultury, oraz zmniejszenia zatrudnienia itp., została w 2004 r. zlikwidowana. Po kolei zasypano i zabetonowano, a następnie rozebrano wszystkie 3 szyby wydobywcze, jak również inne zabudowania, za wyjątkiem zabytkowej cechowni.

Następnie jechaliśmy powoli wzdłuż głównej ulicy Cyryla i Metodego (do wojny ul. Sienkiewicza), gdzie zamieszkiwaliśmy ongiś w dwóch miejscach. Z trudem je rozpoznałem, gdyż ul. Sienkiewicza), gdzie zamieszkiwaliśmy ongiś w dwóch miejscach. Z trudem je rozpoznałem, gdyż ul. Sienkiewicza),

wicza zabudowana jest częściowo wielokondygnacyjnymi blokami osiedla mieszkaniowego, wybudowanego obok w latach 50-tych. Rzuciło się w oczy, że miasto jakby było wymarłe - ulice bezлюдne i bez ruchu samochodowego. Następnie drugą główną ulicą Świętochłowicką (dawniej Mickiewicza) dojechaliśmy do okazałego budynku przedwojennej szkoły powszechnej (6-cio klasowej).

Zewnętrznie przedstawia się ona nadal bardzo okazale – masywny budynek trzykondygnacyjny z elewacjami z czerwonej cegły, kryty dachem ceramicznym. Obiekt został rozbudowany o skrzydło z salą gimnastyczną, skanalizowany, parterowe szałety zamienione na stołówkę i magazyny szkolne. Obecnie jest to Zespół Szkół Średnich, również Szkoła Podstawowa. Z sentymentem zwiedzałem niektóre pomieszczenia, jakie udostępnił nam dyżurujący nauczyciel, od którego uzyskaliśmy też wszelkie informacje dotyczące obiektu.

Zespół Szkół przy Świętochłowickiej ma za swego patrona powstańca śląskiego Wiktora Palińskiego, który zginął 1 września 1939 r. w potyczce oddziału wojska polskiego z dywersantami niemieckimi na terenie Huty Zygmunt. Był pierwszą ofiarą wojny w Łagiewnikach. A ja mam spisana po wojnie dla ZBOWiD-u relację mego ojca z walki z dywersantami niemieckimi na terenie Huty Zygmunt w nocy 29/30 sierpnia. Napisał, że jego placówka Straży Granicznej, będąca na terenie Huty Zygmunt, przez kilka godzin skutecznie odparła atak niemiecki, że otrzymał pomoc grupy powstańców śląskich, potem od strony Zgorzelca zaatakował dywersantów oddział wojska polskiego, który akurat kwaterował w tamtejszej szkole. Byli zabici i ranni po obu stronach. Więc najprawdopodobniej w tej właśnie bitwie nocnej 29/30 sierpnia zginął Paliński.

Naprzeciw budynku szkolnego nie zobaczyłem już willi niemieckiego sztygara, a nieco dalej jest nowe Centrum Medyczne. Jeszcze dalej zaniedbane, właściwie zrujnowane kąpielisko z półokrągłym amfiteatrem i budynek b. Domu Kultury. Wybudowane w latach 60-tych zapewne były ozdobą Łagiewnik. W miejscu tym przed wojną był staw-glinianka bez żadnych urządzeń, w którym chłopcy się kąpali i łatwo można było się utopić.

Następnie pojechaliśmy prostą, a niedługą ulicą Fabryczną w kierunku osiedla Hubertus, gdzie znajdowała się Huta Zygmunt i gdzie mieszkaliśmy do sierpnia 1939 roku. W swej połowie droga przebiega przez wzniesienie-pagórek, z którego rozciągają się dalekie widoki na wszystkie strony. Chodziłem tą drogą z „kocich łbów” do szkoły i bywało, że niekiedy liczyłem dziesiątki kominów kopalnianych i fabrycznych całego powiatu Świętochłowickiego, a nawet Chorzowa i dalekiej Rudy Śląskiej. Oczywiście kminy te dymiły mniej lub więcej.

Pamiętam jednakże, że idąc pewnego jesiennego dnia do szkoły, stwierdziłem ze zdumieniem, że z żadnego komina po polskiej stronie nie wydobywa się dym. Nie rozumiejąc przyczyny, tego niezwykłego zjawiska, poczułem wyraźny niepokój oraz strach i jakby przeczucie czegoś bardzo niedobrego. Dopiero znacznie później, po latach, poznałem przyczyny tego, wielomiesięcznego zresztą, przestoju śląskich kopalń węgla kamiennego. Otóż należały one wszystkie do niemieckich koncernów, w których posiadaniu były również kopalnie na Śląsku niemieckim oraz w zagłębiu Saary i Westfalii na zachodzie Niemiec. Gdy w 1937 roku na rynkach europejskich spadło znacznie zapotrzebowanie na węgiel, koncerny te zmuszone były do obniżenia swej produkcji. Oczywiście zrobiły to kosztem swoich kopalń w Polsce, utrzymując w pełni produkcję w kopalniach niemieckich. Sytuacja ta wyraźnie obrazowała polską mizериę gospodarczą oraz zależność od kapitału zagranicznego.

Faktycznie w II Rzeczpospolitej nie wybudowano na Górnym Śląsku ani jednej nowej kopalni, ani nawet szybu wydobywczego. Nie uczyniono też prawie nic w zakresie mechanizacji robót górniczych. Nic więc dziwnego, że produkcja węgla kamiennego w Polsce w 1938 r., wynosząca 38 milionów ton, była niższa od wydobycia w istniejących kopalniach w 1913 r., tj. przed I wojną światową.

Teraz też przystanęliśmy na środku ul. Fabrycznej, ale kominów w krajobrazie było w ogóle bardzo niewiele. Jeśli ich ilość, obok hal fabrycznych, stanowiła ongiś o przemysłowym charakterze Górnego Śląska – to obecnie brak kominów i powybijane szyby nieczynnych hal fabrycznych świadczyły, że Górny Śląsk nie jest już żadnym, liczącym się zagłębiem przemysłowym.

Na tym wzniesieniu obok ul. Fabrycznej we wrześniu 1939 r. zbudowany został betonowy forteczny bunkier armatni, z którym związane są też losy mego ojca w pierwszych dniach wojny. Mianowicie, gdy ojciec wycofywał się nocą z 2/3 września z bronionej przez kilka dni swej placówki Straży Granicznej, w kierunku Łagiewnik, został ostrzelany z tego bunkra i musiał wycofywać się przez pola do Katowic. Po wielu latach moja siostra przypadkowo spotkała się z dowódcą tegoż fortu, który opowiadał, jak odparli atak umundurowanych dywersantów niemieckich. I dopiero od niej dowiedział się, że ostrzelali Polaków. Z trudem odnalazłem jednak resztki tego bunkra pomiędzy budynkami dużego osiedla domków jednorodzinnych, jakie tam zostało po wojnie pobudowane.

Na chwilę zatrzymaliśmy się przed Hutą Zygmunt, to znaczy przed bramą z wielkim napisem HUTA ZYGMUNT i zdewastowaną portiernią. Tuż zaraz w głębi był ongiś stalowy szyb własnej kopalni węgla, obok cechownia z szatniami dla górników i łazienkami, z jakich też korzystała moja rodzina, gdy mieszkaliśmy na terenie Huty. Obok znajdowały się jeszcze jakieś inne budynki kopalni, przesłaniające wielkie hale huty. Obecnie, prawie na całej tej przestrzeni rósł niziutki kilkuletni lasik iglasty. Ostały się jedynie duży biurowiec z lat 60-tych, również jakieś obiekty magazynowe. A także niewielki fragment Huty od strony Zgorzelca, jako prywatne przedsiębiorstwo, produkujące wyroby metalowe. Ale bynajmniej tego nie sprawdzaliśmy.

Huta Zygmunt faktycznie była jedną z najstarszych hut żelaza na Śląsku, założona w 1845 r., zwana Hutą Hubertus, podobnie jak sąsiednia osada mieszkaniowa, od imienia budowniczego huty, inżyniera niemieckiego. Po uruchomieniu Huty im. Lenina pod Krakowem, przestała wytapiać surówkę żelaza, i podobnie jak kilka innych starych hut śląskich, otrzymała konkretną specjalizację. W szczególności zajęła się odlewami wielkogabarytowymi, produkując głównie odlewy korpusów silników okrętowych, Wraz z likwidacją przemysłu stoczniowego w III RP, Huta Zygmunt stała się więc zbędna i została zlikwidowana.

Pojechaliśmy jeszcze nieco dalej, gdzie stały 2 stare budynki „urzędnicze”, w jednym z nich zamieszkaliśmy w ostatnich miesiącach przedwojennych. Dalej były wielkie hałdy górnicze aż do granicznej rzeczki Bytomki i widoczne było duże miasto Bytom. Teraz cały obszar do Bytomki pokrywał wysoki, dorodny, gęsty las i nic przez drzewa nie było widać. Droga wprawdzie biegła dalej w głąb lasu, ale zdecydowaliśmy się zakończyć swą wędrówkę po szarych, zaniedbanych, wyludnionych Łagiewnikach i szybko wróciliśmy do Chorzowa, na dobre naleśniki przy ruchliwej, centralnej ul. Wolności.

Przy okazji nasz przewodnik-przyjaciel opowiadał wiele o Chorzowie, który też się wyludnia. W 1990 r. miasto liczyło 140 tys. mieszkańców, teraz 110 tysięcy. Najpierw wyjechali na swoje wsie i przysiółki chłoporobotnicy, którzy mieszkali po internatach i przy rodzinach. Potem ci, co mieli jakieś korzonki niemieckie, gdyż w Niemczech, po kursie języka niemieckiego dostawali obywatelstwo i możliwości pracy i zarobku takiego, jak sami Niemcy. To się kalkulowało zwłaszcza tym co mieli konkretny fach, między innymi wyjechało dużo pielęgniarek, lekarzy, budowlańców, fryzjerów, rzeźników. Masowo też wyjeżdża młodzież po szkołach i studiach. Wieczorem zegnaliśmy się ze Śląskiem w wielkim hipermarkecie SILESIA CENTER w Katowicach. Kilka miesięcy wcześniej został oddany do użytku, a wybudowano go na terenie wyburzonych: Huty Baildon i Kopalni Kleofas, po której pozostawiono tylko stalowy szyb wyciągowy, w charakterze ozdoby hipermarketu.



Pozostałości Huty Batory w Chorzowie

Internet sprawił, że w 2013 r. napisała do mnie 27-letnia mieszkanka Łagiewnik Dominika S., prowadząca blog z historią Łagiewnik Śląskich. Prosiła o stare przedwojenne fotografie miasteczka i ciekawostki historyczne z nim związane. Oczywiście wysłałem kilka zdjęć i tekstów wspomnieniowych, w zamian też otrzymałem wiele starych fotografii, m.in. starego urzędu celnego i szlabanu granicznego na ul. Mickiewicza, uwiecznionego na kronice wojennej w trakcie podnoszenia przez żołnierzy niemieckich, wkraczających do Łagiewnik 1 września 1939 r.

Zaś kilka dni temu zatelefonował do mnie mieszkaniec Bytomia, który przedstawił się jako mój kolega ze szkoły powszechnej w Łagiewnikach. Na dowód odwołał się do zbiorowego zdjęcia całej naszej pierwszej klasy (44 chłopaków), jakie posiadamy. Ja go sobie absolutnie nie przypominam, a ponoć grywaliśmy w szmacianą piłkę. Wysłałem do niego list, w którym napisałem kilka zdań o swym życiorysie i zapytałem o różne obiekty i wydarzenia w Łagiewnikach. Czekam z ciekawością na odpowiedź.

Kraków, 10.02.2017 r